

Zofia Książek-Bregułowa

część III z III

Sygnatura notacji: **N0063**
Data urodzenia: **14.03.1920 r.**
Data nagrania: **28-29.08.2007 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Jacek Bąk**
Czas nagrania: **część I: 56 min, część II: 60 min, część III: 40 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Zofia Książek-Bregułowa: Chodziłam na zebrania, chodziłam na próby, w których nie grałam, a na zebraniach jak siedziałam, to przede mną było puste krzesło, za mną było puste krzesło, po lewej stronie i po prawej puste krzesło. Nikt z zespołu nie usiadł, żeby ze mną porozmawiać albo coś zrobić. Chodziłam do bufetu. Znałam tam, gdzie jest bufet, brałam herbatę, bułkę jakąś, siadałam, nikt się do stolika nie przysiadł. W ogóle byłam traktowana jak jakaś zaraza w ogóle jakby siedli koło mnie. W ten sposób. Ja pomyślałam sobie, żeby się całkowicie nie załamać, akurat się tak złożyło, że dziennikarze byli bardzo serdeczni zawsze dla mnie i taka Kasia Ryboń napisała piękny artykuł: „Zofia Książek-Bregułowa mieszka na Śląsku” i tego. I o tym się dowiedziała Estrada. To było takie przedsiębiorstwo, które robiło po szkołach koncerty, a tak samo zaczęły się takie rozmaite... Aha, radio zaraz mi też pomogło. Już w 1952 roku poproszono mnie na audycję, robiłam sonety Mickiewicza, razem zresztą Holoubek recytował też, tak, tak. I już miałam kontakt, prawie co miesiąc były takie audycje „Pieśń o domu ojczystym” i ja recytowałam. I od 1953 roku to ja już miałam kontakt i z tą estradą, i z filharmonią. Filharmonia robiła tak zwane umuzykalniające koncerty i jak przyszedł rok mickiewiczowski, to chcieli, żeby były koncerty takie słowno-muzyczne. I ja Mickiewicza, dużo, dużo Mickiewicza recytowałam. I to zjeżdżałam potem, to się zaczęły moje kontakty właśnie z tymi dwoma przedsiębiorstwami, to w ogóle zjeżdżałam cały Śląsk po szkołach, bo potem przyszedł rok znowu chopinowski, a jak chopinowski, to jednocześnie Słowackiego, bo oni w jednym roku umarli, to potem samodzielnie miałam audycje w ogóle. Tylko pianista, Żmudziński ze mną grał, Klara Langer-Danecka, Chopin i Słowacki. To ja robiłam nie tylko jego poezję, takie wiersze, ale ja robiłam dialogi, ja robiłam sceny z „Balladyny”, Balladyna, Alina. Zmieniałam głos, zmieniałam kierunek twarzy i robiłam tę scenę zabójstwa. Miałam taką ciszę, brawa miałam, młodzież tak słuchała, że dyrektorzy się... Ja miałam widownię na 200 czasem osób i była cisza. To dyrektorzy się dziwili. Jeden dyrektor

powiedział: „Co pani robi z nimi? Oni 40 minut nie wysiedzą na lekcji, łażą po klasie, a tu patrzą w panią jak tego”. I tak, ja miałam na tym oczku, które widziało, miałam jeszcze plamkę. Plamę taką białą. Nikt, nigdy się nie spotkałam, żeby jakieś uwagi były brzydkie, że co ona ma za oko albo co. Nic, nigdy. Bardzo to... To były cudowne te koncerty. Ja wstawałam o 5:00, o 6:00 rano, bo czasem gdzieś tam w Jastrzębiu Zdroju czy... Od Cieszyna po Nysę zjeżdżałam cały Śląsk właśnie. To wstawałam o 5:00 rano, żeby tymi zatłoczonymi autobusami jeździć, a ja się czułam szczęśliwa, jak się przebrałam w długą suknię i byłam sama na scenie, to myślałam, że na jakiejś wielkiej scenie jestem. Zresztą jak dawali mi kwiaty, to bardzo często słyszałam, naprawdę bardzo często: „Och, dziękujemy pani. My teraz dopiero wiemy, jaka piękna jest polska poezja”. To ja byłam... Prawie że do łez mnie to wzruszało, bo myślę sobie, że ja albo budzę, albo pogłębiam miłość do ojczyzny, która się wyraża w poezji, tak pięknych strofach najbardziej. A jak miłość do poezji, to miłość do ojczyzny się wzmacnia. I byłam naprawdę szczęśliwa też, bardzo szczęśliwa, i te koncerty. To mi zazdrościły te niektóre, ale to już nie chcę mówić o tych brzydkich. Zmieniali się dyrektorzy, do każdego prawie szłam, bo potem był i Gogolewski, potem Holoubek, z Holoubkiem miałam przeprawę, z Gogolewskim. Najbardziej mnie oszukał Gogolewski, który przyjął mnie, poszłam z mężem, a on mówi: „Proszę pani, ja się tak szykowałam na to spotkanie. Ja znam pani mistrzowskie wykonania poezji w radio ogólnopolskim”. Aha, bo Jurek Rakowiecki, jedyny kolega, Jerzy Rakowiecki, w pewnym okresie pracował w radio. I on już w 1957 roku reżyserował „Antygonę” i zagrałam w radio „Antygonę”, w radio warszawskim, ale to szło oczywiście na ogólnopolski program. I miałam kontakt już z radiem. Jeśli chodzi o radio Warszawskiego, to potem zrobiłam „Fedrę” Rasina, monodram „Protesilas i Laodamia” a zaadaptowałam sztukę „Protesilas i Laodamia” Wyspiańskiego. Zaadaptowałam na... Zrobiłam z tego monodram. Wybrałam całą jej tragedię bez tych tego. I to szło też w ogólnopolskim programie. „Śmierć Ofelii” Wyspiańskiego, też monodram. A w Katowicach miałam, co miesiąc miałam 20-minutową audycję poetycką. Czasem proponowałam, już był pan Widera nadzwyczajny taki bardzo. Bardzo życzliwe radio katowickie było i warszawskie tak samo. Gogolewski tak powiedział: „Mała scena do pani dyspozycji”, bo tam była mała scena w Katowicach. „Do pani dyspozycji. Proszę tylko podać, jakie...”. Patrzył na mnie w ogóle i na Włodzia mojego, i tak przyrzekał, że mała scena. „Proszę tylko podać jakieś programy i...”. A potem jak dzwoniłam, to nigdy go nie... Aha, ja mu napisałam list, że pan mi zwrócił wiarę w człowieka. Taki piękny list mu napisałam po tym spotkaniu właśnie. A potem jak dzwoniłam, to sekretarz przyjmował go i mówi, że pan zajęty, pan dyrektor, a w ogóle jak podałam Ionesco albo coś tam tego, to że to się nie mieści w programie małej sceny. Jednym słowem on był tylko półtora roku, zagrał główną rolę tam w czymś i tego. A ja tak wierzyłam, że to jest taki świetny aktor i jak on mówi, to mówi chyba prawdę, że wreszcie znowu na nowo będę może w coś grała w teatrze w Katowicach. Zawiódł mnie. Potem nasz kolega wspólny ze studiów, Władzio Sheybal, bo w międzyczasie było w 1955 roku, wszyscy studenci Tajnego Instytutu Sztuki Teatralnej zrobili takie spotkanie. Zaprosili mnie z Katowic, pojechałam. Jeszcze żyli moi profesorowie wszyscy, Wiercińscy, Kreczmar, Wyrzykowski, w ogóle wszyscy i mieliśmy to przyjęcie. Podczas tego przyjęcia koledzy napisali list do Holoubka, bo w międzyczasie on został dyrektorem. Do Holoubka list, że ja w Opolu gram i tak dalej, żeby mnie w jakiejś roli zaangażował. I podpisali się wszyscy koledzy, tak jak Mrozowska, Łapicki, Sławek Gliński. Świetni aktorzy, prawda, i koledzy moi. I podpisali się, i wszyscy ci żyjący profesorowie, takie autorytety, te nazwiska już wymieniłam tutaj.

Jacek Bąk: Tak.

Zofia Książek-Bregułowa: I proszę państwa, potem Jurek Rakowiecki powiedział, że on im odpisał na ręce Jurka

Rakowieckiego, że on się tym nie zajmie, że on wierzy, że Zofia Książek-Bregułowa ma tak utytułowanych i utalentowanych kolegów, że oni ją wezmą do Warszawy i jej pomogą. Tak odpisał Holoubek właśnie. Ale nie dał za wygraną ten właśnie Władek Sheybal. Przyjechał do Katowic w jakichś innych sprawach i poszedł do teatru, do Holoubka. Ach, ucieszył się Holoubek, że: „Może przyjedziesz, wyreżyserujesz tutaj”, a on powiedział, mówi tak Władek Sheybal: „On jest straszny tchórz. Ja go tak wziąłem za kłapy i mówię tak: „Kolego, ja tu przyjdę wyreżyserować też, ale przede wszystkim Książkównę Zosię musisz tu zaangażować. Słyszę, że masz „Wesele” robić. Tam jest tyle ról, ról, żeby dublować i tego”. A on tak oczy takie zrobił i przyrzekł mu ze strachu chyba, a ten tak naumyślnie zrobił to, żeby go tak przestraszyć i że tak się ujmują za mną koledzy. I proszę państwa, dostaję wezwanie rzeczywiście, że próby się zaczynają. To już był 1956 rok. Ja już byłam pięć lat i nic nie grałam tam w tym... I że dostaję rolę Marysi w „Weselu”. To jest siostra panny młodej. Ta, która miała też... Kochała się w poecie i tak dalej. Tam są dwie sceny. Rzeczywiście doskonała rola, nieduża, ale technicznie mogłam zagrać fantastycznie bez żadnych kłopotów, bo pierwsza scena to wchodzi z Jagusią, jak mówię: „Czy ci nie żal, siostrzo” i tak dalej. Rozmowa jest między tymi dwoma siostrami, a razem wchodzi i razem wychodzi. A druga scena, mam z widmem. Pokazuje mi się ten Marysi narzeczony. I ona rozmawia z nieżyjącym człowiekiem. Tak że... Ale wpada jej mąż, ten Wojtek i ona mówi: „O, Wojteczku, wolę ciebie, wolę ciebie” i wychodzi. Więc świetnie. Chodziłam na próby na foyer. Maj to być, 1956 rok. Duże foyer, jest piękne. Wszystkie role były dublowane, więc proszę sobie wyobrazić ile, prawie cały teatr był zaangażowany. I ja siedziałam blisko tak Holoubka w takim tego, obok aktorki rozmaite, słuchałam, dostałam tę rolę, już się nauczyłam, kiedy przyjdzie to, że ja zagram, ale w pierwszej obsadzie kto inny. To zaczynały się próby czytane. Próby czytane. Szczęśliwa jestem, Boże, Marysię będę grać w „Weselu” znowu. Na pewno to już teraz się uda, ten mi mówił. I pewnego dnia Holoubek przyszedł, już wszyscy, cały zespół był i mówią: „To dzisiaj tak zimno tu na tym. Chodźmy do sali SPATIF-u. A ja akurat wiedziałam, gdzie jest bufet, gdzie się płaci składki, gdzie jest kancelaria. Nie wiedziałam, gdzie jest sala SPATIF-u, bo tam nigdy nie chodziłam. To jeszcze SPATIF był wtedy. I on pierwszy wstał, i wychodzi. Ja tak wstałam z tego krzesła i w twarzy mojej było, ktoś podejdzie, koleżanko, bo ja się nie ruszam z miejsca i tak jak było ze 40-parę osób, tak przeszli koło mnie. Ja widziałam te cienie tak. Potem był artykuł. W 1981 roku pani Ram napisała artykuł duży w „Stolicy”, „Wśród omijających cieni”. Przeszli wszyscy i ja zostałam na tym foyer sama. Nikt nie podszedł, nie powiedział: „Koleżanko, proszę...”. Ja tak chwilę stałam, odwróciłam się w stronę, wiedziałam, że okna są z tej strony drugiej, patrzę, tam zobaczyłam cień na oknie i mówię: „Przepraszam, kolego. Kto tam stoi?”. A tu odwrócił się i tego, i poznałam po głosie. Kolega Tarczykowski. On zbierał składki na ZASP. Nie na ZASP, na SPATIF. I patrzy, a ja mówię: „Kolego, czy pan mógłby mnie do sali SPATIF-u zaprowadzić?”. On oczywiście podszedł i poszłam do tej sali SPATIF-u, krzesło znalazł i usiadłam na tej próbie.

Jacek Bąk: Jak to się wszystko skończyło?

Zofia Książek-Bregułowa: Tak, to był stosunek kolegów jakże diametralnie różny niż w Opolu. I teraz... Ale nic, dalej chodziłam na te próby, ale ja się wtedy leczyłam na inną chorobę i w ogóle, i miałam sanatorium załatwione. Przyszło, że sanatorium mam załatwione w Krynicy. Akurat czerwiec się zaczynał i że na czerwiec tego. Ja poszłam do Holoubka i mówię: „Panie dyrektorze, ja mam tu skierowanie, ale nie pójdę, bo próby są. To ja zrezygnuję z tego”. „Ależ nie. Niech pani jedzie. Przecież pani jest tak utalentowana, że to tego, a ja już pomyślałam, jakie sytuacyjno zrobić te”, żeby sobie pojechała, „To nie jest duża rola. Pani sobie doskonale w tym radzi”. I pojechałam do tej

Krynicy, a on zachorował na płuca ciężko.

Jacek Bąk: Kto „on”?

Zofia Książek-Bregułowa: No, Holoubek. Reasumując nie zagrałam tej Marysi w „Weselu”, bo w czerwcu Holoubek zachorował i był w szpitalu, i potem był operowany, a potem do Warszawy był przeniesiony. I jeszcze był jeden dyrektor, Wyszomirski, który ni stąd, ni zowąd dał mi wypowiedzenie. Ja go poprosiłam do domu, i tak mu opowiadałam o sobie, że on się prawie że rozplakał i cofnął mi to wypowiedzenie jakoś. Ale... Aha, i mnie obsadził w takim... To była poezja radziecko-rosyjska na jakąś tam rocznicę. Razem z zespołem tam miałam dwa czy trzy wiersze, recytowałam. Ale to nic. Ale on był krótko. I przyszedł Daszewski. To był aktor, który w międzyczasie zrobił reżyserię i został dyrektorem. Ale ja do niego pierwszy rok już... Aha, i dalej robiłam koncerty. Ja tylko się tego, po prostu żyłam tymi koncertami recytatorskimi. I w radio miałam, to już mówiłam o tym. I właśnie przyszedł Daszewski jako dyrektor, ale ja do niego nie poszłam, bo już miałam dosyć tego chodzenia i każdy mi przyrzekał albo mówił od razu, że nie, albo potem przyrzekali i nic nie realizowali, ale przyszedł rok, już w międzyczasie, 1966. Tak. I wreszcie po 16 latach właśnie takiej walki, bezowocnej właściwie i tylko cieszenia się z tego ogromnie, że mam koncerty te szkolne dla młodzieży, poszłam do dyrektora Daszewskiego. I on z miejsca, potem żałowałam, że nie poszłam. To już był rok jego dyrektury, od razu powiedział: „Proszę pani, na małej scenie poszukam jakiegoś monodramu i będzie pani monodram robić”. I wybrał Jacka Bocheńskiego „Tabu”. Cudowna rzecz w ogóle. No, nie chcę, znowu nie będę opowiadać, co to jest. Trzy postacie różne zupełnie. Każda ma imię, kobieta ma imię Dolores, a mężczyzna ukochany Diego. Pierwsza zakonnica, która się zakochuje w poecie, uciekają razem i potem ona wraca, bo uciekają przez granicę, ale ona ucieka, bo w ogóle... I staje przed świętym oficjum, i spowiedź cała, i przed, przed spaleniem. No, w ogóle wspaniała. To jest pierwsza, Dolores i Diego. Druga postać, inna zupełnie, aktorka, rok 1936, rewolucja w Hiszpanii, poeta, a ona aktorka, zakochują się. On odchodzi, ona ucieka i jest we Francji, policja ją łapie i całe znowu życie opowiada, a trzecia, modystka, która zwariowała z miłości dosłownie, mówi przez telefon, że ona już jest wyleczona, ale codziennie chodzi na lotnisko i patrzy co by to było, jakby samolot wylądował i Diego, i byś przyszedł, i powiedział: „Dolores”, a ja bym powiedziała: „Diego”. No, wspaniała rzecz. Ja się tego nauczyłam, wszystkich tych trzech. Pierwszy ten monolog 40 minut, drugi 45 minut, trzeci 15 minut. Tyle tekstu się nauczyłam, a tu Daszewski mówi: „Pani Zofio, mamy takiego pecha. Bocheński się podpisał pod petycją, 34 intelektualistów przeciw”. Znana rzecz politycznie. A wszędzie w Polsce zakazanie, nic nie wolno wystawiać tego Bocheńskiego Jacka. A ja już tekst, już mieliśmy mieć próby. Ja pechowa właśnie taka jestem. I zaczynamy szukać innego monodramu. I on znalazł. „Podróż do zielonych cieni” Finna Methlinga w tłumaczeniu Iwaszkiewicza. Piękna rzecz. Całe życie człowieka od pobytu dosłownie w tonie matki aż po śmierć, wszystkiego tego. Wspaniała rzecz. Ja to potem dla radia zrobiłam właśnie.

Jacek Bąk: I co, udało się to?

Zofia Książek-Bregułowa: I próba... Tak. Premiera, wreszcie premiera znowu moja i scena. „Podróż do zielonych cieni” Finna Methlinga. Czerwiec, 1967 rok. I wreszcie premiera, 16 czerwca 1967 roku, po 16 latach pobytu w teatrze w Katowicach wreszcie znalazł się człowiek, który mi zaufał i... Serce mi waliło okropnie. Jak kurtyna, słyszałam, jak kurtyna idzie w górę i zaczęłam. Cisza niesłychana w ogóle. I tak dużo chodziłam w ogóle. Cała premiera poszła

świetnie. I recenzje były w trzech dziennikach katowickich. Z programami w ogóle i tego. To była radość dla mnie niestychana. Codziennie grałam, cały czerwiec i potem po wakacjach we wrześniu zaczęłam, nawet szkoły zaczęły przychodzić też na to, jak się dowiedziały, też zaprzyjaźnione szkoły. Ale z aktorów nie był nikt na premierze. Wielki mój portret z tego był nad małą sceną właśnie i tylko Iłfakowiczówna, jego żona była i przyniosła mi różę na premierę. Dostałam masę kwiatów, masę kwiatów. Właśnie, strasznie dużo dostałam kwiatów. Radość do też dosłownie. Dotąd jestem aktorką czynną. Czynną aktorką. Bo ja mam co miesiąc jeden albo dwa koncerty, albo w domach kultury, albo w salonach literackich tam, albo w szkołach. W czerwcu teraz miałam, poprosił mnie polonista w Chorzowie z Liceum Słowackiego i poprosił o Mickiewicza, Słowackiego i Norwida. Recytowałam 1 godzinę i 20 minut. W przerwach była muzyka Chopina trochę. I tak młodzież słuchała, i także poprosił mnie na listopad, bo jest Wyspiańskiego rok, żebym w listopadzie miała koncert Wyspiańskiego. A dom kultury w Zawodziu, to jest dzielnica Katowic, będę robić też teraz we wrześniu, też będę grała Wyspiańskiego. W październiku mam, na początku, 12 października, w domu kultury, znowu innym domu kultury, zapomniałam tej dzielnicy, jak się nazywa. Też moje wiersze. I 30 października w salonie literackim na Koszutce będę moje wiersze mówić. Te cztery wejścia. Ze wszystkich czterech tomików wiersze recytuję. Oczywiście nie wygrałam tak, że byłam, że od lat nie jestem w teatrze i nie gram ról, ale ja już dawno w myślach pożegnałam się z ogromnymi rolami jakimiś. Ja wiedziałam, że jakby muszę grać albo epizody, albo mniejsze role, a muszę się pożegnać z rolami takimi jakichś wielkich heroin, do czego byłam predestynowana i tak dalej. Ale w każdym razie ja jestem w encyklopedii tej śląskiej, teraz mnie wzięli do encyklopedii takiej europejskiej. Tam jest napisane: „Zofia Książek-Bregułowa jest jedyną w Polsce niemal niewidomą aktorką”, tak było parę lat temu. Ale wszędzie będę swój zawód uprawiać. Ja nie zrezygnowałam. Pokaż mi taką drugą, tak silnej woli. Od 1951 do 1981 roku byłam aktorką, na pół etatu właśnie, w Teatrze Wyspiańskiego, a zagrałam raz w tym 1967 roku, raz jedyny. Po „Podróży do zielonych cieni” dyrektor Daszewski ze względów zdrowotnych zrezygnował z dyrektury i przeniósł się do Zabrze, ale nie zapomniał o mnie i tam miałam gościnne występy. Dalej robiłam „Podróż do zielonych cieni” i na scenie literackiej, i „Życie Bryła”. Tak że, bo w Katowicach zmiany następowały, znowu był nowy dyrektor i aktorzy, i już znowu nikt mnie nie obsadzał. Aha, nie, następny dyrektor mnie zwolnił. Zwolnił mnie i ja poszłam z tym zwolnieniem do generała Zientka, który był w ZBoWiD-dzie wtedy kierownikiem czy w ogóle ważnym, w ogóle był bardzo ważną osobistością. I powiedziała mu, że nie wolno inwalidów zwalniać, wolno zwalniać tylko wtedy, kiedy sobie dany człowiek niepełnosprawny nie daje rady, a ja dawałam sobie radę i w Opolu, i tutaj w „Podróży do zielonych cieni” i dosłownie w ciągu paru dni cofnięte było to wypowiedzenie, ale nadal w ogóle nie obsadzali mnie. W sumie jednak wygrałam walkę o to, bo ja dotąd jestem czynna, dalej w radio mam... W tej chwili nie. W tej chwili nie, ale dalej miałam audycje radiowe właśnie i w szkolnej, dla szkół i dla dorosłych, i dotąd jestem czynna. Właściwie to jest recytowanie poezji, fragmentów ról niektórych, teraz jest rok Wyspiańskiego, więc ja robię monologi na przykład z jego dzieł, i dialogi. To też trzeba aktorstwo pokazać i kunszt, i tak dalej. Tak że w sumie ja uważam, że moja walka z losem została przynajmniej w 80% wygrana, bo powiedziała losowi: „Nie, bo ja bez tego żyć w ogóle bym nie mogła”. Ja dopiero żyję, jak ja stoję na estradzie i tę ciszę słyszę w trakcie recytowania, ta radość ogromna mnie ogarnia i takie półtoragodzinne dają recitale poetyckie, pamięć mnie nie zawodzi i ciągle jestem czynna właściwie. Żyję wtedy jak coś mam z mojego zawodu do czynienia. Od roku 1972 przez trzy miesiące to miałam, czy cztery, to miałam już 30 wierszy, 40.

Jacek Bąk: I co z tymi wierszami dalej?

Zofia Książek-Bregułowa: Ale pierwszy tomik pod tytułem „Śpiewam mój ból”, „Czytelnik” mi... Ale złożone to było, dwa lata czekałam. Już Włodzio się nie doczekał niestety. Byliśmy w Warszawie, już mi powiedzieli, że się drukuje, myśmy przyjechali z Warszawy po wizę, mieliśmy jechać do Anglii w czerwcu, a on... Myśmy wrócili 22 maja do domu, zachorował w nocy, pogotowie go zabrało i rano już nie żył, 23 maja. I dopiero w styczniu następnego roku dostałam pierwsze tomiki „Śpiewam mój ból”. Ale już się zaczęły wiersze... Aha, nie, bo przedtem zanim... Bo przecież ja zaczęłam w 1974 roku. Potem w 1985 roku ja miałam ten wypadek i jeszcze tomik był pierwszy niedrukowany, a już zaczęłam tomik „Nie płacz Antygono”. To była lawina wierszy tych. Jak zaczęły się te kolory, te obrazy pozazmysłowego widzenia.

Jacek Bąk: Na czym to polega?

Zofia Książek-Bregułowa: Psychotronik mi powiedział, taki znajomy, to powstało, „Boże kochany, spotkało panią wielkie szczęście”, mówi. „Dzięki temu, że pani ma szalenie bogate życie wewnętrzne, wyobraźnię niesamowitą” i coś tam jeszcze mi mówił, ja nie wiem. „Tylko pani musi na nowo zacząć koncertować, musi pani pracować dalej”. A od profesora Duksa, patologa, to powiedział, że otrzymuję na 100 tysięcy niewidomych, jeden wypadek jest. Że dostają to pozazmysłowe widzenie. I to trwa od 1985 roku, od lipca, bo pięć tygodni miałam tej smoły. I rozpacz była, i płacz nocą, i dniem. Razem żeśmy płakali. Powiedziałam: „Ja nie będę żyć. Ja nie mogę żyć w tej nocy czarnej”. Bo zawsze jak byłam ranna i cały czas, to ja miałam albo szarość, albo widziałam kolory, kontury, a tu naraz czułam się jak zamknięta w bryle węgla. I potem te widzenia, i to wszystko trwało, i do tej pory trwa. Ja dzisiaj mam bardzo jasny dzień. Jaśniutki i seledyny. Seledynowa trawa, z góry na dół taki błękit i się rusza to wszystko, zawsze obrazy ruszają się w krystalicznie czystej wodzie źródlanej. Jaśniutko mam, bardzo. I tylko żyję dlatego, że to pozazmysłowe widzenie trwa i że mam koncerty od czasu do czasu, recitale poetyckie. Bo ja już nie piszę wierszy teraz. Odfrunęła muza. Piszę znowu, takie wspomnienia jeszcze zaczęłam. Więc nie wiem, jak to wszystko chcesz w 15 minutach o tej poezji, bo to strasznie długie jest.

Jacek Bąk: Nie. Powiedz mi, jak to jest, jak taki wiersz przyptywa do ciebie.

Zofia Książek-Bregułowa: Jak co?

Jacek Bąk: Jak wiersz przyptywa do ciebie, jak to jest?

Zofia Książek-Bregułowa: No, tak przyptywa naraz. Nagle. Ja nie tak, że... Niektórzy poeci to podobno siedzą i czekają, układają na kartce, dzisiaj napisze, jutro nie. Nie. O Włodziu te wiersze, jak pięć tygodni tej rozpacz i siedzę w fotelu, w ogóle siedzę w fotelu i naraz tak jakby mi ktoś szeptał do ucha, wiesz? Dosłownie. Treść cała. Dosłownie się układa i pierwszy wiersz mi się ułożył, jak po pięć... I to mnie od szalonej rozpacz też uchroniło, bo ja płakałam, tak, ale pisałam jednocześnie też po trzy wiersze albo po dwa dziennie. Jakby mi ktoś szeptał do ucha. Duch Święty.

Jacek Bąk: I od razu to zapisujesz czy zapamiętujesz?

Zofia Książek-Bregułowa: Co? Od razu, tak. Od razu. Ja prawie że nie poprawiam. Pierwszy wiersz był, „Stamtąd się listów nie pisze ani...”. Pierwszy wiersz był o Włodziu, „Stamtąd się listów nie pisze ani telegramów tam nie ma”, czy telegramu, coś tam. „Więc śnisz mi się tylko, śnisz mi się. Ale dlaczego ciągle, że umierasz?” Bo miałam takie sny okropne. I potem zaraz inne, inne wiersze. I tomik ten „Nie płacz Antygono” najszybciej mi wydrukowali. Złożyłam i w ciągu półtora roku mi tego, bo powiedzieli mi w wydawnictwie w Katowicach, że nie ma poezji inspirowanej przez pozazmysłowe widzenie. Nie ma. To jest moja ta poezja. Sto przeszło wierszy napisałam.

Jacek Bąk: Ile tomików?

Zofia Książek-Bregułowa: Co?

Jacek Bąk: Ile tomików?

Zofia Książek-Bregułowa: Nie, o pozazmysłowym widzeniu jeden tomik, ale w ogóle tomików mam tak: „Śpiewałam mój ból”, bardzo dużo wierszy o powstaniu i o innych swoich rzeczach jeszcze, drugi wiersz „Nie płacz Antygono”, to jest jak się stała ta tragedia i zaraz za rok po tym, po tej utracie, Pan Bóg walił we mnie wtedy jak tego. Straciłam jedyne oko, otrzymałam jednak to pozazmysłowe widzenie, jak byliśmy już uspokojeni, mówię: „Włodziu, teraz się da żyć, bo ja mam to pozazmysłowe widzenie”. Wiersze o Włodziu zatytułowałam: „Cykada na smyczku”. Dlatego, że oni byli, orkiestra była w 1975 roku w Iranie, Persji wtedy, na wolnym powietrzu grali wśród takich resztek kolumn starych i grali utwór Pendereckiego... O matko, wyleciało mi. Jak powiem ten wiersz, I przyleciała... Cykady latały, cykady. Bo tam jeden muzyk grał na okarynie, one podobno cykady lubią. W każdym razie cykady zaczęły grać. I jedna z cykad do nikogo nie poleciała, tylko do Włodzia i siadła mu na smyczku. On gra, a tu mu cykada. W czasie grania, musiał dalej grać. Ta cykada cały czas siedziała mu na smyczku. I ja dlatego tomik dałam „Cykada na smyczku”. I ten wiersz o tej cykadzie jest taki: „Zjaw się nocą, kochany i opowiedz mi, opowiedz mi, jak w Persepolis przyfrunęła do ciebie cykada i najpierw na klapie fraka usiadła, a potem na końcu smyczka i «Przebudzenie Jakuba» słuchała – to jest ten utwór właśnie – gdy grałeś w orkiestrze na skrzypcach. Opowiedz mi, kochanie, raz jeszcze to wszystko dokładnie, bo widzisz, to jest temat do pięknego obrazu w przyszłości. Wielka estrada wśród kolumn”, coś tam pod niebem, ale... „pod Persji niebem gwiazdy spadają na szczęście, niezadymiony sierpień – tu jest do powstania właśnie – niezadymiony sierpień, reflektory, tłumy widzów, gra orkiestra symfoniczna i ta cykada na szpicie smyczka. Słuchaczka twoja najmilsza, która wiedziała, do kogo frunąc, czyje tam wtedy serce było najtłkliwsze”. I dlatego dałam taki tytuł, „Cykada na smyczku”. To jest wiersz o Włodziu. I po pierwszym jubileuszu w roku 2000 zostałam honorowym obywatelem Katowic. Siłę bardzo, moją wewnętrzną energię i siłę czerpię z życia mojej mamy. Miała bardzo ciężkie życie. Była bardzo dzielna i zawsze na zewnątrz do ludzi uśmiechnięta, nigdy się nie żaliła specjalnie, a miała bardzo ciężkie i była bardzo wesoła i tu popłakała z tego, a tu zaraz się śmiała i ja taka sama jestem.

Jacek Bąk: Przypominasz sobie mamę w takich trudnych chwilach?

Zofia Książek-Bregułowa: Ach, jak. No, ile mam o mamie wierszy. Mam na przykład, ten wiersz to strasznie ludzie

lubię i w ogóle, Basi ukochany wiersz jest, taki wiersz. „Jak ona”, taki tytuł. „Jak matka moja schylona pokornie i smutna wybierała troskliwie ze skorup i ziemi resztki połamanych nie przez nią pelargonii i sadziła je od nowa, uparcie, by choć w oknach naszych było jasno, różowo i białe, tak ja o każdej złej i ciemnej porze rozglądam się, jak ona żdźbła zielone łowią, ogrzewam je uśmiechem, że odrosną wierzę i znów z klęczek się dźwigam ze wzniesioną głową”.